



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie \$1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą \$1.00, bez Gazety \$1.50.

Za redakcyą odpowiedzialne Pol. Lit. Tow. w Chicago. Listy i korespondencye adresować należy: Polish Literary Society, albo: W. Smulski, 606 Noble Street, Chicago.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją piśmu "Dzień Święty" zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

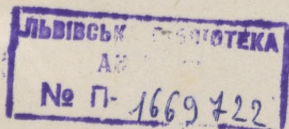
DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIAŃSKI:
Czwartek, 4 Października	Franciszka Serafickiego	Bratysław.
Piątek, 5 Października	Placyda m., Flawiany p.	Zasław.
Sobota, 6 Października	Brunona w.	Bronisław.
Niedziela, 7 Października	21 po Św. N.P. Maryi Różań.	Rosław.
Poniedziałek, 8 Paździer.	Brygidy wd.	Wojstawa.
Wtorek, 9 Października.	Dyonizego b. m.	Dogomost.
Sroda, 10 Października.	Franciszka Borgiasza	Dobromila.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus !

NA NIEDZIELĘ DWUDZIEŚTĄ PIERWSZĄ PO ŚW.

Ewangelia u św. Mateusza w rozdziale XVIII.

Onego czasu powiedział Jezus uczniom Swoim to podobieństwo: Podobne jest królestwo niebieskie człowiekowi królowi, który chciał kłaść liczbę z sługami swoimi. A gdy począł liczbę kłaść, przywiedziono mu jednego, który mu był winien dziesięć tysięcy talentów. A gdy nie miał zkaż oddać, kazał go Pan jego zaprzedać, i żonę jego i dzieci, i wszystko co miał, i oddać. A upadłszy sługa on, prosił go, mówiąc: Miej cierpliwość nademną, a wszystko tobie oddam. A Pan, zlitowawszy się nad onym sługą, wypuścił go, i dług mu odpuścił. Lecz sługa on, wyszedłszy znalazł jednego z towarzyszków swoich, który mu był winien sto groszy i ująwszy, dusił go, mówiąc: Oddaj coś winien. A upadłszy towarzysz jego, prosił go, mówiąc: Miej cierpliwość nademną, a oddam ci wszystko. Lecz on nie chciał, ale szedł, i wsadził go do więzienia, ażby oddał dług. A ujrawszy towarzysze jego, co się działo, zasmucili się bardzo, i przyszli i powiedzieli Panu swemu wszystko, co się było stało. Tędy zawołał go Pan jego i rzekł mu: Sługo niecnotliwy! wszystek dług odpuściłem ci, iżeś mnie prosił, iżali i ty nie miałeś się zmiłować nad towarzyszem twoim, jakom się i ja zmiłowałem nad tobą? I rozgniewawszy się Pan jego, podał go katom, ażby mu oddał wszystek dług. Takci i Ojciec mój niebieski uczyni wam, jeżeli nie odpuścicie każdy bratu swemu z serc waszych.

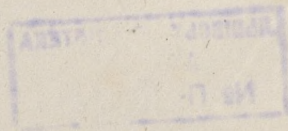


Panowanie Stefana Batorego.

Po ucieczce Henryka Walezego znowu było bezkrólewie i naród na nowo rozmyślał, kogoby obrać królem, a wielu z panów już tą razą z całej siły popierali cesarza austriackiego i nawet pociągnęli na swoją stronę nie mało szlachty, przekładając im, że Rzeczpospolita wzięwszy się za ręce z Austrią, pokona Moskwę, Turków i Tatarów. Większa jednak część narodu z wielkim gniewem powstawała na panów i kładli im przed oczy żywy przykład czeskiego i węgierskiego narodu, jak zostali niewolnikami Niemców. Między szlachtą był jeden bardzo mądry człowiek Jan Zamojski.

Koło tego Zamojskiego kupili się wszyscy, co pocziwsi w narodzie, tak ze szlachty jako i z panów, i uradzili: że najlepiej obrać na króla uczciwego, roztropnego i walecznego szlachcica. Mieli oni wielką prawdę, boć ten tylko może dobrze w kraju rządzić, komu ten kraj ojczyzną, a nie żaden cudzoziemiec, co się drze do rządów dla własnego zysku. Zgodziła się szlachta na dwóch Polaków, z których jeden zwał się Kostka a drugi Tenczyński, i tych chcieli podać narodowi, aby jednego z nich wybrał na króla. Ale jak Tenczyński tak Kostka nie przystali na to, bo mówili: że na taki wysoki urząd jak króla czują się nie zdadni.

Kiedy tak wszyscy krzatali się koło oboru króla, od strony krajów tatarskich dziki zwierz i ptastwo spłoszone tyśmiacami leciało do Polski, co było znakiem, że tatarskiego napadu tylko co patrzeć. I nie długo Tatarzy przeprawiwszy się przez rzekę Dniepr, zamierzili swoim zwyczajem rozdzielić się na cztery części i wpaść w kraje Rzeczypospolitej. Ale wnet z pospiechem nawrócili przez rzekę, bo widzieli, że czeka na nich wojsko polskie i nie mało Kozaków. Czekало tak jeszcze pare tygodni wojsko polskie, a kiedy Tatarzy się nie ukazywali, wszyscy byli pewni, że już nie powrócą i spokojnie rozeszli się do domów. Aż tu dopiero wpada owa dzicz w przeszło sto tysięcy i kraj pustoszą po swojemu. Zrabowali Tatarzy przeszło 200 wsi, a zabrawszy do 40 tysięcy ludzi uciekli co tchu, bo pewni byli pogoni. Nad rzeką Dnie-



strem dognało ich wojsko polskie i kozackie i uderzyło na nich, aby przynajmniej odbić lud zabrany do niewoli. Powodziło się Polakom z początku szczęśliwie, aż nagle od wołoskiej ziemi nadeszła pomoc Tatarom, a tak mało co straciwszy niewolnika i łupu, uchodzili do swoich krajów. Kozacy zaporozcy puścili się za nimi, a pustoszyli i łupili ich ziemie. Ale na cóż się to przydało, kiedy tyle polskiego ludu jęczało w tatarskiej niewoli i tyle kraju polskiego stało zniszczonego i opustoszałego. Wielka też żałość ogarnęła cały naród, i spieszyli się, aby co prędzej obrać króla, a takiego, coby umiał bić Tatarów i innych napastników. Panowie wytrwali przy swoim cesarzu austryackim i tego odwiecznego nieprzyjaciela Polski ogłosili nawet królem, bo każdy liczył w myśli bogactwa, jakie mu za to przypadną i cieszył się, że będzie się mógł wynosić nad prostą szlachtę, jak to u Niemców było w zwyczaju. Ale druga część narodu, której był głową Zamojski, obrała królem Stefana Batorego, a że nie był żonaty, więc miał się ożenić z królewną Anną, siostrą Zygmunta Augusta, panną starą, bo w 54tym roku. Stefan Batory był urodzony Węgrzyn i rządził małym kraikiem, co się zwał Siedmiogród, a iż był księciem niebogatym i nie z królewskiej krwi, dla tego się jeszcze bardziej szlachcie podobał, że to z panami nie będzie trzymał. Ale co już najwięcej, to że był tęgim wojownikiem, bo nawet nowe sposoby wojowania wymyślił, a przy tem gospodarny, więc się spodziewali, że będzie dobry do rządów. A tak panowie ze swoim cesarzem osiedli na koszu, a Stefan Batory z wielką radością był przyjęty w Polsce. Dowiedziawszy się cesarz austriacki o tem, przysłał co prędzej do Polaków: że jego syn ożeni się z królewną Anną, byle go tylko królem obrali. Aż się śmiesznie zrobiło Polakom, bo ten syn cesarski był chłopiec na dorastaniu i miał się ze starą królewną żenić, ale czegoż nie robi chciwość?

Kiedy wjeżdżał Stefan Batory do Krakowa, bardzo się wszystkim zaraz na oko spodobał, bo był mężczyzna twarzy poważnej, wysoki i tęgim, tak, że było i na co spojrzeć, a też już i nie żaden młokos, bo miał 41 lat. Odbyła się też dnia

2 maja 1575 roku koronacya Batorego razem z królowną Anną, która mu się niekoniecznie podobała, ale że przyrzekł, więc wziął z nią ślub drugiego dnia po koronacyi.

Muszę też wam powiedzieć, czemu car moskiewski tak cicho siedział i Polski nie napadał. Otóż i temu okrutnikowi zachciało się w Rzeczypospolitej królować, więc się łąsił Polakom i udawał, że ich bardzo kocha. Kiedy się też dowiedział, że Batory królem, dziw że się nie zapamiętał ze złości, i co tchu zbierał wojsko, aby napaść Inflanty i sobie zagarnąć. Nikt w Polsce o zamiarach cara nie wiedział, a Batory musiał wojować we własnym kraju, bo miasto Gdańsk, jak wiecie, za czasów krzyżackich zkretelem zniemczało, i nie wiedzieć czy trzymało skrycie z Niemcami i z cesarzem austriackim, czy całkiem rozum straciło, dość, że Batoremu nie chciało przysięgać jako królowi, tylko rozpisywały Niemcy, że chcą mieć swoje prawa dotrzymane, których król ani myślał gwałcić. Jadą więc biskupi, różni panowie i szlachta do Gdańszczan od króla, a perswadują, że takim uporem sobie a nie komu innemu zaszkodzą, że przecież król nie myśli żadnych im praw odbierać. Wtedy znowu Gdańszczanie powiadają: iż nie zapłacą długu, który winni do skarbu, co wynosiło 400 tysięcy złotych, pieniądze naówczas niemałe. Na to przystać nie było można, bo skarb już był wcale pusty, a tu go jeszcze Gdańszczanie tak bezwstydnie chcieli odzierać.

Ruszyło więc ku Gdańskowi wojsko polskie, ale to miasto mocno było obwarowane, mury żołnierzem obsadzone, którzy dali ognia do Polaków i kilku zabili. Rozpoczęła się więc wojna na dobre, Gdańszczanie Niemców do swego wojska ponajmowali, uzbroili się sami, tak, że mieli do kilku tysięcy doskonałego żołnierza. Król Batory sam na tej wojnie był wodzem, bo mu też szło i o to, aby przy zdobywaniu miasta nie niszczono. Gdańszczanie wyszli z miasta w 5 tysięcy żołnierzy i napadli na Polaków, ale byli na głowę pobici, tak, że półtrzecia tysiąca trupem padło, a resztki rozbite uciekły do miasta. Wtedy przysyłają Gdańszczanie, że chcą zgody, Batory przystaje, ale jak przyszło do umowy, znowu Niemcy uparte i twarde, od swego ustąpić nie chcieli. Trwa-

ło to tak prawie pół roku, aż kiedy ich niemało wyginęło i mieli biedy po uszy, przystali dopiero na to, czego nie chcieli na początku, i przysięgli królowi na wierność i pieniądze, które winni byli, przyrzekli wypłacić.

Tymczasem car niespodzianie napadł na Inflanty, gdzie zastał tylko trochę wojska, co stało po zamkach obronnych. Broniło się to wojsko, ale kraj stał bez zastłony, który Moskale pustoszyli nie jak ludzie, ale jak dzikie zwierzęta, pastwiąc się okrutnie nad mieszkańcami. W mieście Kiesi, które teraz nazywają Wenden, obrzynali Moskale ludziom nosy, uszy, ręce; wieszali za nogi, za żebra, i tak khuli aż umarł. A wśród ulic zalanych krwią, najsprośniej znieważali kobiety. Wojsko inflantskie długo się broniło na zamku Kiesi, a nakoniec, aby okrutnym najeźdcom nie wpaść w ręce, wysadziło się prochem w powietrze. Dowiedziawszy się o tych srogościach szlachta litewska, zebrała jak mogła najprędzej wojsko i uderzyła na napastników. Wnet rozpedzili moskiewską konnicę, więc też i piechota nie mając czego czekać, zabrała się do ucieczki; wszystkie jednak armaty, kule i proch zdążyli Moskalom zabrać Litwini.

Po tej okrutnej napaści moskiewskiej zjechał się niedługo sejm Rzeczypospolitej do Warszawy, gdzie król posłom przedłożył, iż trzeba jak najsurowiej pokarać cara i to w własnym jego kraju, bo inaczej nie położą się tamy tym najeźdom. Szlachta na to przystała i uradziła nowy podatek, a wkrótce wszyscy gotowali się do wojny.

Szlachta wyjeżdżała na wojnę konno, i Kozacy także konno służyli, więc też za mało piechotnego wojska miała Rzeczpospolita, bo tylko z miast i czeladzi obozowej. Dla tego trzeba było pieszego żołnierza z cudzych krajów najmować. Zarządził temu król Batory, bo rozkazał, aby z królewskich dóbr z każdego 20 łanów wyznaczony był jeden najśmielszy chłop, i aby był oporzędzony w ubranie i broń, jaka żołnierzowi potrzebna. W razie wojny miał stawać jako piechotnik, a w czasie pokoju w każdej okolicy mieli się zbierać cztery razy do roku u swego starszego, aby się nauczyć mustry. Nazywali się ci żołnierze piechotni *wybranieckimi*,

bo co najśmielszego między drugimi ludźmi wybierano. Napowstawało z tych żołnierzy wybranieckich bardzo wielu szlachty, bo jak się który bił na wojnie odważnie, to i zostawał szlachcicem, boć pewnie pamiętacie, że w Polsce przez wiele wieków rycerz czyli żołnierz a szlachcic, to było jedno.

(Dokończenie nastąpi.)

Dobre książki są dobrymi przyjaciółmi.

Gdyby człowiek od urodzenia pozostawał tylko sobie samemu oddanym i przebywał samotny zdala od innych ludzi, stałby się dzikim, nie znając Boga i nie wiedząc, po co żyje na świecie. Człowiek więc potrzebuje towarzystwa ludzi i dobrych przyjaciół. Dla przepędzenia czasu, wolnego od zatrudnień, szuka sobie różnych zabaw i rozrywek, które wszystkie kolejno z początku go bawią, a potem nudzą: szuka z każdym dniem to w samotności, to w towarzystwie przyjaciół do rozweselenia i porady. Czego jednak i między ludźmi nie zawsze znaleźć można, to znajdziemy niezawodnie w najlepszym towarzystwie przyjaciół, to jest w dobrych książkach. One są dobrymi przyjaciółmi naszymi, bo w nich złożyli najznakomitsi mężowie różnych epok skarby wszelkiej wiedzy i światła, dobre rady i napomnienia, również nauki względem Boga, ojczyzny, bliźnich i siebie samego. Jeżeli więc kto ma sposobność, to powinien wszystkie chwile samotne, wolne od zatrudnień obowiązkowych, przepędzać na odczytaniu książek, zamiast je trawić na próżnowaniu, albo marnotrawić przy kartach i w szynkowniach. Gdy dostaniemy do rąk jakąś książkę naukową, opisującą nam wypadki z różnych części świata, ich mieszkańców, życie zwierząt i świat roślinny, z taką uwagą oddajemy się czytaniu, że darowalibyśmy wszystkie zabawy i rozrywki, które nam przedtem przyjemność sprawiały, czas schodzi nam przyjemnie, rozum wzbogacamy coraz liczniejszymi wiadomościami i nie mamy czasu oddawać się złemu. Zważyć jednak trzeba, że nie każda książka jest dobra. Jak we wszystkich ludzkich spra-

wach, tak i tu, obok dobrych są rzeczy złe i szkodliwe, są książki złe, których czytanie zamiast czynić pożytek, tylko szkodę wyrządza. Do takich książek należą te, które czytelnika odwodzą od cnoty, są one jak owi pochlebcy, którzy żywią w nas wszelkie złe skłonności dla własnej korzyści. Czytanie książek jest z wszech miar chwalebne, ale wtedy staje się prawdziwie pożyteczne, gdy nie chybia zamierzonego celu: cel zaś jest ten, żeby czytelnik przez czytanie zmierzał ku obyczajności i nauce. Niektóre książki bawią wdzięcznym stylem i powabną powieścią; lecz nie tylko dla zabawy i spędzenia czasu powinno się czytać książki, lecz czytanie powinno służyć pożytkowi duchownemu. Przeważna ilość jest takich, którzy nie chcą czytać ksiąg naukowych i obyczajnych; będą to z pewnością tacy, którym nie należy na kształceniu ducha pożytecznymi wiadomościami i naukami moralnymi, lecz przez czytanie chcą tylko czas sobie skrócić. Przeciwnie miłośnik cnoty nie znajdzie w takich książkach żadnej przykrości. Nie żal też jest dobre dzieło kilka razy powtórzyć, a jestto prawdziwą cechą dobrego dzieła, że się nigdy nie sprzykrzy, lecz owszem im częściej czytane, tym bardziej się podoba, a za każdym razem zawsze się z niego coś skorzysta. Obyczajowe książki jako dobrzy przyjaciele powstrzymują chęć naszą czynienia złe, wzbudzają w nas szlachetne pobudki i zachęcają do naśladowania cnoty, dzielności i innych pięknych przymiotów. Do takich ksiąg można zaliczyć historią, byleby ją czytano, jak się czytać należy, bo wiadomość rzeczy, gdzie i kiedy się działy, jak się rządy i prawa zmieniły, jak państwa wzrastały i nikły, jestto zawsze dobrze wiedzieć, ale nie jest istotnym celem wiadomości przeszłych. Lecz w tem właśnie polega rzeczy istota, aby umieć sądzić tych, których nazwiska nam historia podaje, dociekać źródeł, z których państwa swój początek brały i rozwijały się, a z których upadek poniosły; należy wielbić cnotę w szlachetnych mężach, a brzydzić się niezmazanem piętnem sromoty, które potomność kładzie na zdradę, chytrość i niepochamowanie rządzących chciwie. Najlepszy przykład podobnego naśladowania sławnych i zacnych mężów przedsta-

wia nam Tadeusz Kościuszko, który czytając raz dzieło Plutarcha, opisujące żywoty sławnych mężów, bardzo je polubił i ciągle odczytywał. Wskutek tego czytania wyrobiło się w nim wczesne i tkliwe przywiązanie do ojczyzny, zamiłowanie do wszelkich czynów i prawości, które to przymioty wpływały na wszystkie czyny jego życia i ugruntowały jego sławę. Kto czyta książki dobre i pożyteczne, ten także będzie człowiekiem dobrym i prawym, ale trzeba dzieło pouczające czytać nie raz, ale kilka razy z uwagą i ochotą. Nie dosyć jest też na jednej książce poprzestać, a o inne nie dbać; w książkach nauka różnym sposobem i rozmaitemi słowami jest wyjaśniona, a często w naszej pamięci odnawiana daleko mocniej w duszy naszej się przyjmuje i gruntowniej umysł oświeca. Trzeba więc szukać różnych książek, w których są bądź przepisy cnoty, bądź przykładowe rozprawy i powieści. Te dzieła podają nam zasady obyczajności i wymagania cnoty i wszystkich zadań człowieka, to też powinno być pierwsze i najważniejsze. Kto jednak ma sposobność, nie powinien innych opuszczać, bo i one przyczyniają się do naszego uobyczajania przez to, że uszlachetniają nasz rozum i czynią go zdolnym do rozpoznawania tego, co prawda, a co jest fałszem.

Co ma wisieć — wisieć będzie.

POWIASTKA Z DAWNYCH CZASÓW A. POLA.

(Dokończenie).

VI.

Zimno się zrobiło panu Wojciechowi, gdy tego samego dnia pod wieczór weszło do jego domu trzech zbrojnych sług miejskich, a pot zimny całą twarz oblał, gdy mu oznajmiono, że z rozkazu prześwietnego magistratu jest aresztowanym. Nie było rady — poczuwał się do winy, chociaż wytłumaczyć sobie nie mógł, jakim sposobem sprawa wydać się mogła, więc zebrał całą odwagę i z rezygnacją otworzył szafę i zaczął się ubierać, a Pelasia w płacz! Patrząc na ubierającego się Wojciecha, trzeba było raczej śmiać się, aniżeli płakać,

bo w strachu i w pośpiechu przywdziewał, co mu w rękę wpadło, czy to kaftanik czy suknią jej — aż wreszcie skończył i zabrał się do odejścia. Wtenczas to Pelasia z krzykiem rzuciła mu się na szyję i w żaden sposób puścić go nie chciała.

— Uspokój się Pelasiu — można powiedzieć — kochana, bo nie ma rady, iść muszę. Toć mię tam nie zjedzą zaraz, ani też głowy nie utną, bo — można powiedzieć — że jestem niewinny. Skoro powrócę opowiem ci wszystko, a ty tymczasem dobrze gospodaruj. No — zostań z Bogiem!

I wzięli pana Wojciecha słudzy miejscy pomiędzy siebie i zaprowadzili do miasta. Serce krajało się biedakowi, gdy przez ulice miasta szedł jak złoczyńca jaki, a ci, którzy mu się nieraz nisko kłaniali, teraz palcem go wytykali. Inni znowu, którzy go kochali, unikali z daleka spotkania się z nim, aby sobie i jemu oszczędzić przykrości. Przyprowadzono go na ratusz, gdzie stary odźwierny niekłamanym wyrazem bólesci przyjął swego przyjaciela i oświadczył mu, że ma rozkaz włożyć na niego kajdany i zamknąć w lochu. Poddał się w milczeniu pan Wojciech i gdy ciężkie żelazne drzwi za nim się zatrzasnęły, padł z jękiem na twarde posłanie. Drżał od zimna, a głowa rozpalona była jak w gorączce i przez całą noc oka zmrużyć nie mógł, tak go dręczyła niepewność. To rozmyślał, co ma odpowiedzieć, gdy go będą badać, to znowu nie mogło mu się w głowie pomieścić, aby magistrat mógł wiedzieć o tem, o czem tylko wiedział on sam i wisielec, a ten przecież wygadać nie mógł, bo jak się sam naocznie był przekonał, wiślał jeszcze na starem miejscu.

Nazajutrz z rana zaskrzypiały zawiasy, otworzyły się drzwi więzienia i zaprowadzono pana Wojciecha na salę ratuszową, gdzie pan burmistrz i wszyscy radni siedzieli już około zielonego stołu. Ponure milczenie i posępne twarze ojców miasta, zbrojni słudzy, którzy go prowadzili i drzwi i sień obstawili, szcęk broni po sieniach i przed ratuszem — wszystko to nie bardzo uspokajająco działało na pocziwego Wojciecha: krew zaczęła mu uderzać do głowy, gdzie raz po raz na doprawdy zaczęło mu się mącić. Po małej chwili mil-

czenia, w czasie której wszystkich oczy w niego były wlepione, powstał pan burmistrz i rozkazawszy mu przystąpić bliżej, napominał go, aby szczerą zeznał prawdę. Przypomniawszy mu, że lepiej wszystko poświęcić, życie nawet stracić, jak sumienie mieć nieczyste i postradać spokój duszy; że niema tego grzechu, któryby nie mógł być odpuszczonym, byleby człowiek ze skruszonym sercem przyznał się do winy i poddał się z pokorą wyrokowi sądu, chociażby był najsurowszym, chociażby na szubienicę wskazać musiał.

U pana Wojciecha dusza była na ramieniu, ale ciemno zrobiło mu się w oczach, gdy spojrzał na stół i poznał tam swoje własne buty. Teraz wszystko mu się wyjaśniło, bo przekonał się, że te buty, które stały w komórcie obok stajni, a które ów złodziej, zabierając się do ucieczki, chciał ukraść, zdradziły rzecz całą. Zaraz też postanowił opowiedzieć szczerą prawdę i gdy go pan burmistrz zapytał, jakimby sposobem te buty dostały się owemu wisielcowi, opowiedział wszystko, jak było: że żał mu było biedaka, który tyle godzin na stryczku zawieszony, męczył się i żył jeszcze, że chciał mu życie uratować i przechował go w stajni, że potem w nocy złodziej jakiś najlepszego konia mu chciał ukraść i że tego złodzieja, którego w żadeu sposób zatrzymać nie mógł, uderzył widłami, ale tak nipszcześnie, iż go zabił, że potem dopiero poznał w owym złodzieju szubienicznika, który na ukradzionym koniu chciał drapnąć, i nadto, jak widzi, buty mu jeszcze ukradł, że wreszcie, chcąc się pozbyć ambarasu, powiesił go znowu na stare miejsce, na szubienicy.

— Prześwietny magistracie — zakończył pan Wojciech — to też było najwłaściwsze jego miejsce i ostatecznie — można powiedzieć — powinno mu być rzeczą obojętną, czy umarł przez powieszenie, czy też przez pchnięcie widłami. Wedle prawa i — można powiedzieć — wyroku, nie miał on żyć, więc też nie może być wielką zbrodnią umarłego człowieka przebić widłami. Zawyrokował magistrat — można powiedzieć — prześwietny, aby umarł — jako też nie żyje, aby wisiał — jako też i wisi, bo co ma wisieć, to — można powiedzieć — wisieć będzie.

To szczerze zeznanie dobre zrobiło wrażenie. Pan burmistrz przedłożył mu jeszcze kilka pytań dla wyjaśnienia, a potem kazano wyprowadzić pana Wojciecha i czekać na koniec narady.

Długo też narada nie trwała, bo gdy podobnego przypadku prawo nie przewidywało, więc też nie było innej rady, jak zgodzić się na wywody pana Wojciecha, że przebijając wisielca, przebił tylko trupa — bo trupem on wedle prawa miał być. Taki też wyrok ogłoszono obwinionemu, a pan burmistrz tak zakończył poważne swe słowa.

— Sławetny Wojciechu! wedle wyroku prześwietnego tedy tego magistratu, który umie cenić i estymować życie uczciwe i przy przewinieniu pokorne przyznanie się do winy, jesteście zatem od tej chwili wolni tedy tego — ale, pamiętajcie to dobrze, że po raz pierwszy i po raz ostatni! Gdybyście nadal takimi niewczesnymi i niegodnymi żartami na despekt mieli wystawiać uczciwe imię obywatela i naszego tedy tego grodu, poczulibyście całą surowość praw naszych, które na ten przypadek nie mają wprowadzić osobnego przepisu, ale mieć tedy tego będą, gdyż nieomieszkamy natychmiast zdać relacją miłościwemu panu, a królowi naszemu i poprosić o stosowne prawo na przyszłość. Aby wam zaś to przewinienie tedy tego nie uszło zupełnie bezkarnie, kładziemy areszt na buty wasze, które urząd miejski niniejszem konfiskuje.

Skłonił się pan Wojciech czapką aż do samej ziemi, dziękując za łaskawy wyrok, potem leciał ze schodów jak oparzony, że o mało co karku nie nakręcił i wpadł na rynek, gdzie przyjaciele jego głośniejszymi okrzykami przyjęli uwolnionego. Zakropiono też sprawę uczciwie, a gdy pan Wojciech później z kilkoma przyjaciółmi, których zaprosił jeszcze do siebie, przechodził około szubienicy, zawołał na wisielca:

— Już teraz nie miej kłopotu, niewdzięczny — można powiedzieć — złodzieju! Nie głupim drugi raz cię odrywać.

W domu opowiedział całą sprawę Pelasi, która mu tę zbawienną dała radę, aby już nigdy na wpół zmarłych wędrowców nie znajdował na szubienicy. Potem wyszła i powróciła z parą starych papci.

— Straciłeś piękne i drogie buty — tu masz w zamian te paradne obuwie, które ci złodziej z wdzięcznem sercem zostawił. Znalazłam je rano w stajni.

Pan Wojciech wziął łapcie, związał na sznurku i powiesił na ścianie nad drzwiami: ku wiecznej rzeczy pamiątce, a po nad niemi napisał na białej ścianie węglem:

“Co ma wisieć — wisieć będzie.”

Łapcie te wiszą w tym samym gościńcu do dnia dzisiejszego, jeżeli ich dotychczas nikt z gwoźdźcia nie zdjął, o czem mi nie wiadomo.

Gdyby kto nie chciał wierzyć w prawdziwość tej historii, niech się spyta tych, którzy ją odemnie słyszeli.

TAJEMNICA SPOWIEDZI.

Historja podaje nam wiele przykładów na dowód, że dana jest kapłanom osobliwsza łaska stałości i mężstwa do zachowania tajemnicy spowiedzi z narażeniem nawet własnego życia.

W ostatnich latach panowania cesarza rosyjskiego Pawła odkryto spisek przygotowany w jego państwie. Areztowano natychmiast podejrzanych i osadzono w twierdzy petersburgskiej. Najglówniejszy z nich wszakże nie dawał się nakłonić do żadnych zeznań; różne środki przymusu i podejścia nie zdołały wydobyć z niego słowa co do imienia i planów współwinnych. W tem zachorował i zażądał spowiednika. Wyznaczono mu wygnanego francuzkiego kapłana, ks. Pinguilli, znanego z wysokiej pobożności nie tylko katolikom, ale i znakomitszym mieszkańcom stolicy, samemu nawet cesarzowi. Zdarzyło się bowiem, że gdy cesarz będąc jeszcze carewiczem, z żoną Francją odwiedzał, podejmował ich gościnnie w swoim probostwie na wsi; to też gdy wskutek rewolucyi francuzkiej musiał ojczyznę opuścić, został przyjęty w Rosyi jako dawny przyjaciel.

Pobożny kapłan, znany powszechnie pod imieniem O. Aleksandra, mieszkał w domu należącym do kościoła kato-

lickiego w Petersburgu. Pewnego dnia przybył do niego hr. Kuturów z rozkazem cara i zawiózł na fortecę dla wystuchania więźnia spowiedzi. Podczas gdy ks. Pinguilli udzielał Sakrament Pokuty świętej, czekał na niego hrabia w przyległym pokoju, a gdy skończył, zabrał go z sobą do powozu; ale nie odwiózł go do domu, tylko wprost do carskiego pałacu. Po przybyciu zaprowadzono go natychmiast do cesarza.

Paweł mile powitał księdza i po kilku wyrazach uprzejmych zażądał, aby mu wszystko opowiedział, co więzień wyznał na spowiedzi. Starzec zadrżał mimowoli na te słowa, ale oprzytomniał wkrótce i powiedział:

— Najjaśniejszy Panie, wiem teraz jeszcze mniej o pokutniku, niż wprzód, zanim go widziałem.

— Smiesz opierać się moim rozkazom? — zawołał cesarz rozniewany. — Nie z płochej ciekawości badam ciebie, lecz aby strumieniom krwi zapobiedz i największe nieszczęście odwrócić; wypowiedz tedy co wiesz, lub męki przymuszają cię wyznać, co mi teraz zamilczasz.

— Życie moje w twoich rękach, Najjaśniejszy Panie, — odparł spokojnie ks. Pinguilli — ale dusza moja do wieczności przeznaczona; we wszystkim radbym ci być powolnym, ale tu Boga przede wszystkim słuchać muszę. Usta moje, jak usta każdego katolickiego kapłana, są zamknięte pieczęcią Sakramentu Pokuty i zostaną zamknięte na wieki. Ufam, że ani męki, ani śmierć sama nic nademną nie przemoگا, jak nie zwyciężyły św. męczennika Jana Nepomucena. Jego przykład jest mi wzorem i pragnę go naśladować do ostatniej godziny mego życia.

Car popatrzał w oczy dzielnego kapłana, potem zaczął chodzić w szereg i w dół gabinetu; ksiądz myślał, że los jego rozstrzygnięty i polecił duszę Panu Bogu, gdy nagle Paweł stanął, zawołał na hr. Kuturowa, ścisnął księdza za rękę i widocznie wzruszony rzekł do wchodzącego hrabiego:

— Odprowadź tego księdza do domu, dotychczas ceniłem go jako dobrego człowieka, teraz szanuję go jako cnotliwego i więcej jeszcze.

Ksiądz i hrabia oddalili się, wsiedli do powozu i jechali w milczeniu. U progu pomieszkania pożegnał go hrabia.

Czytelnik wystawił sobie łatwo uczucia szlachetnego księdza; opowiedział później ze łzami całe to zdarzenie poufałemu przyjacielowi, i od tegoż słyszał piszący całą tę opowieść, i to w tym samym pokoju, gdzie przemieszkiwał niegdyś bohaterski kapłan.

Po śmierci Pawła ks. Pinguilli bywał po kilka razy wołany do owdowiałej cesarzowej, która go obdarzyła nawet kosztownym подарunkiem na pamiątkę zmarłego małżonka.

Bóg zapłać!

W Albendorf w Austrii zdarzył się w roku 1852 fakt następujący: Do pewnego bogatego rzeźnika, który nie znał litości dla biednych, a obojętnym był we wierze, przyszła raz pewnego uboga kobiecina, której mąż ciężką złożony był chorobą, prosząc o kawałeczek mięsa na rosół dla chorego. Rzeźnik zapytał szorstko, czy ma pieniądze.

— Nie mam pieniędzy — odrzekła kobieta — bom bardzo uboga.

— A czemże zapłacisz?

— Powiem: "Bóg zapłać!" a to wiele warte.

— Dobrze, ile to warte, tyle ci dam mięsa — rzekł rzeźnik szyderczo — napisał na karcie te dwa słowa: "Bóg zapłać!" i wrzucił kartkę na wagę.

W kramie było kilku kupujących, przypatrujących się tej scenie. Kawałeczek mięsa położony na drugiej szali, nie przeważał jej, więc rzeźnik dodał drugi kawałek, ale i to było bez skutku. Przekonano się ku wielkiemu zadziwieniu obecnych, że waga była w porządku i że nic nie wstrzymywało szali z kartką papieru. Rzeźnik zirytowany dokładał do przeciwnej szali funt po funcie, ale zawsze pozostawała ona lżejszą. Teraz rzeźnik blady wyznał, że to cud chyba, obdarzył biedną obficie i od tej chwili wszedł w siebie i zmienił się nie do poznania.

DWAJ FILOZOFOWIE.

Pan profesor Niedbalski i pan profesor Zapominalski byli szczerymi przyjaciółmi i nierozłączonymi towarzyszami, jakkolwiek z powierzchowności swej wcale do siebie nie podobni, bo pan profesor Niedbalski był wysoki i cienki jak tyczka, a pan Zapominalski niski, okrągłuchny jak baryłka, z twarzą jakoby księżyc w pełni. Obaj przyjaciele codziennie wieczorem wychodzili sobie na piwo, a w niedzielę i święta, gdy służyła pogoda, chodzili przeszło pół mili za miasto, aby tam w ogrodzie przy kufelku piwa karmić ducha uczonymi rozmowami.

Razu pewnego wyszli w powszedni dzień, korzystając z rekreacji, za miasto, usiedli w pustej restauracyi za stołem, a gdy się nagadali i napili, zwolna i z powagą kroczyli do miasta. Po drodze pan Zapominalski wciąż poprawiał sobie kapelusz, który mu jakoś wcale nie chciał siedzieć na głowie, ale wciąż spadywał, podczas gdy pan Niedbalski miał robotę kapelusz bezustannie podnosić w górę, bo mu aż na sam nos wlatywał. Wreszcie gdy już byli u bramy miasta, zauważył pan Niedbalski zniecierpliwiony:

— Nie wiem, co to jest, ale mój kapelusz mi jakoś za wielki.

— A mój za mały — odrzekł pan Zapominalski, — wi-dać, że musieliśmy się pomylić i obce wziąć kapelusze.

— Najniezawodniej. Ale tak nie podobna nam chodzić, musimy się koniecznie wrócić po nasze kapelusze.

— Masz racją, kolego.

I wrócili się obaj, jakkolwiek znużeni, i przeszli owe pół mili, aby tylko przyjść do swej własności. Przybywszy na miejsce, żalą się przed gospodarzem, że wskutek pomyłki obce zabrali kapelusze.

— Ależ tu nikogo więcej nie było, prócz panów — perswaduje im gospodarz; — niezawodnie panowie pomijaliście się na swoje kapelusze.

I rzeczywiście pokazało się, że pan Niedbalski miał obszerny kapelusz pana Zapominalskiego, a pan Zapominalski

mały kapelusz pana Niedbalskiego. Podziękowali gospodarzowi za światłe objaśnienie i poszli do domu. Gdy po raz wtóry przyszedli do miasta i rozstawali się na ulicy, rzekli do siebie:

— Jak to dobrze, żeśmy przynajmniej tej dalekiej drogi daremnie nie zrobili. Przyszliśmy do swych kapeluszy.

Ci sami profesorowie poszli wieczorem innego dnia na piwo, a że się na deszcz zanosilo, zabrali ze sobą parasole. — Gdy przy piwie umawiali się, jak starożytni Grecy wymawiali „E”, zaczął deszcz padać na dworze. Do domu szli pod parasolami, a każdy był zamyślony i milczał. Wreszcie zauważył pan Niedbalski:

— Myślę i myślę i nie mogę sobie przypomnieć, a jednak pamiętam bardzo dobrze, że gdyśmy szli na piwo, niósłem coś pod pachą.

— Istotnie, i ja sobie przypominam, że coś pod pachą trzymałem. Niezawodnie zostawiliśmy to w restauracyi. — Musimy się wrócić.

I wrócili się, ale nic nie znaleźli; znany też z uczciwości gospodarz zaręczał im, że nic nie zostawili. Zasiedli więc na nowo do piwa i przez cały czas nic nie mówili, tylko łamali sobie głowy, coby to być mogło, co tudotąd przynieśli, a co tak dziwnie bez śladu zginęło.

Zakłopotani powracali do domu. Gdy się już zbliżyli ku domowi, deszcz przestał padać, a pan Zapominalski pierwszy zamknął parasol i włożył go pod pachę.

— Aha, wiem teraz! — zawołał z radością. — Oto parasole nasze mieliśmy poprzednio pod pachą! No, dobrze tylko, że ich nie zgubiliśmy. Dobranoc!

— Prawda, prawda. Dobranoc!

FRASZKI.

Słuszny żal. Pani majstrowa kładzie przy obiedzie uczniowi maleńki kawałeczek mięsa, a chłopiec w płacz.

— Czego płaczesz? — pyta pan majster.

— Ach! — odzywa się chłopiec — ja płaczę nad tym biednym wołem, którego dla takiego maleńkiego kawałka mięsa musiano zabić.